Aktualności

Papież rozkochany w Gorcach i lokalnej kuchni

16/10/2020, dodał: **Magda Polańska**



„Mama często mówiła, że Wojtyła zawsze był święty - już za życia, jako ksiądz, kardynał i w końcu papież. I później się okazało, że jej słowa się sprawdziły”.

Z wszystkich zakątków świata w sposób znaczący umiłował sobie Gorce. Karol Wojtyła, późniejszy papież Jan Paweł II, przyjeżdżał w góry, by nacieszyć się ich pięknem, spokojem i móc w ciszy porozmawiać z Panem Bogiem. Wędrując po Gorcach zatrzymywał się w domu należącym do rodziny Marii Adamczyk w Lubomierzu. Pobyt i odwiedziny w górach wspomina jej syn – Jan Adamczyk.

Klaudia Gawronek: Pani Maria Adamczyk to znajoma papieża Jana Pawła II z czasów młodości. Jak i kiedy rozpoczęła się ta relacja?

Jan Adamczyk: Pamiętam, jak mama opowiadała, że była jeszcze młodziutka, kiedy pierwszy raz spotkała Wojtyłę. To było lato 1949. Szedł wraz z krakowskimi studentami z Mogielicy i schodząc na gościniec trafił na pierwszy, znajdujący się najbliżej żółtego szlaku dom. W środku dziesięciu domowników, kuchnia i pokój. Moja babcia, Władysława, widząc tak dużą grupę trochę się zmartwiła, ale po namyśle zaproponowała im świeże siano, a oni ochoczo na to przystali. Ugościła ich więc w stodole, tylko księdzu, z racji szacunku wobec niego, dostało się łóżko w izdebce. Okazywał zainteresowanie dla spraw rodzinnych Adamczyków, pytał, jak im się tu żyje i wciągał w rozmowę. Podczas pobytu turystów każdy dzień rozpoczynał się od Mszy św., a potem wychodzili co prędzej w góry. Wrażliwość Wojtyły nie pozwalała mu patrzeć na tę ciężką pracę w polu, którą wykonywała Marysia, wtedy czternastolatka, więc prosił mojego dziadka, by pozwolił jej iść z nimi na wędrówkę.

K.G.: A księdzu nie wypadało odmówić...

J.A.: Tak jest. Z szacunku do jego pozycji dziadek przyzwalał na takie prośby. Wojtyła był bacznym obserwatorem i widział, że mama, będąc najstarszą z rodzeństwa, miała najwięcej obowiązków i na niej spoczywało dużo, czasami zbyt dużo. Ludzie wtedy żyli z gospodarki i tego trzeba było pilnować, dlatego starsze dzieci zaganiano do pracy na roli. Wojtyła nie był obojętny na ten widok i tę powszechną biedę. Zabierał mamę ze swoimi znajomymi w góry, a po powrocie częstowali domowników krakowskimi przysmakami. Dużo rozmów i jeszcze więcej śmiechu, tak to wyglądało.

K.G.: Razem chodzili w góry, razem się modlili i razem jadali. Czym częstowano papieża w Rzekach?

J.A.: Kycioki. Przede wszystkim kycioki. Ilekroć mama robiła tę potrawę w domu, tyle razy wspominała, że to był ulubiony posiłek Wojtyły przygotowywany specjalnie dla niego. Te kluski ziemniaczane trafiały mu szczególnie w gust, ponieważ nierzadko sam o nie prosił. Tarte, surowe ziemniaki, odciskane z wody w lnianym worku. Odciśnięta masa była odstawiana na bok, zaś odcedzona woda wylewana, a pozostały krochmal przechowywano na później i już stwardniały dodawano do tarty. Z tego z kolei ugniatano podłużne, na moje oko trzy na półtora centymetrowe kluski i wrzucano je do gotującej się, posolonej wody. Wtedy one się robiły takie szare, kosmate. Krochmal się dodatkowo zagęszczał i łączył z masą. To był bardzo pożywny pokarm stanowiący pełen obiad. Jedna miska dla dzieci, druga dla studentów i trzecia dla księdza. Do tego lubił tak zwaną sapkę – zupę robioną na bazie mąki pszenicznej, gotowanej we wrzącej i osolonej wodzie. Nierzadko dokładano rogale czy bryndzę lub inne tłuszcze. Poza tym częstowali go tu też plackami robionymi na słoninie przetrzymywanej w spyrniku na strychu. Ciasto się tarło, odciskało i dodawało odrobinę masy z ziemniaków - trochę surowych, trochę gotowanych. Z tego formowało się placki i piekło na blasze kutej, a potem odkładano je na bok. Jak się żar porządnie w piecu wypalił, to otwierało się jego drzwiczki, jeszcze raz się wkładało te placki do środka, a one dochodziły tym dymem drzewa bukowego i wyjmowało się ciepłe. Do dziś czuję ten zapach (śmiech).

K.G.: Brzmi niezwykle smacznie...

J.A.: Smakuje jeszcze lepiej, zapewniam (śmiech).

K.G.: Swojski klimat, naturalność. Czy zatem czuło się jakiś dystans względem księdza?

J.A.: Studenci nazywali go Wujkiem, bardzo rzadko ktokolwiek mówił mu po imieniu czy zwracał się do niego per „ksiądz". Mama zawsze wspominała, że biła od niego aura serdeczności i nie sposób było go nie lubić, a jego charyzma przyciągała ku niemu każdego. Z tego też powodu miało się wrażenie, że rozmawia się z nim, jak z kimś równym sobie. Przede wszystkim autentyczność – jego

emocje były prawdziwe i wyrażał je w każdym niemalże słowie, przez co ludzie do niego lgnęli. Tak samo było z moją mamą, bo chociaż rozumiała, że jest on bardzo wykształcony i oczytany, to nie czuła żadnego dystansu, żadnej różnicy podczas wymiany zdań z księdzem Wojtyłą.

K.G.: Widocznie sympatia musiała być obustronna, ponieważ ksiądz wracał jeszcze do Lubomierza i nocował u rodziny Adamczyków, prawda?

J.A.: Tak, był parę razy, jeszcze jako ksiądz. Bez wątpienia polubił rodzinę mojej mamy i ją samą, ponieważ to właśnie on miał dawać ślub moim rodzicom. Niestety, w obawie przed dłuższym biesiadowaniem po weselu, ówczesny proboszcz z Lubomierza ustalił termin ślubów na wtorek, a że był to środek tygodnia, to ksiądz Wojtyła musiał pełnić swoje obowiązki w Lublinie i nie mógł przyjechać. Parę miesięcy potem podarował im flakon i obrus, jako prezent ślubny. Ja pamiętam, jak ten flakon się stłukł i kiedy wspólni znajomi mamy i papieża byli u niego na prywatnej audiencji, dostali od niego przykaz, by posłać Marysi kolejny flakon, jako substytut tego zbitego (śmiech).

K.G.: Rozumiem zatem, że Pańska mama utrzymywała bliskie kontakty także i ze znajomymi papieża?

J.A.: Tak, to było nieuniknione, ponieważ ci krakowscy studenci nie odstępowali Wojtyły ani na krok. Wszędzie wędrowali razem, to i moja mama zdążyła ich dobrze poznać. Była z tego bardzo zadowolona i niejako dumna, zwłaszcza, że parę lat później stali się oni dość znanymi postaciami w sferze publicznej, a przyjaźń z moją mamą nadal bardzo pielęgnowali. Często ją odwiedzali. Józefa Hennelowa, zastępczyni redaktora „Tygodnika Powszechnego", jej mąż, Jacek Hennel, wykładowca fizyki jądrowej, czy też profesor Jerzy Janik – znakomite osobowości i dobrzy znajomi mojej mamy.

K.G.: Oni wracali – Wojtyła już nie?

J.A.: Na Lubomierz zawitał kilkanaście lat później. Dokładniej w 1977 roku. Wtedy to zjawił się u nas incognito i zamieszkał w drewnianej chatce, w której w jednym pomieszczeniu trzymano sprzęt budowlany, a w drugiej stało łóżko polowe i mały stolik. Spartańskie warunki. Mieszkał tam jak asceta, a jego głównym zajęciem było czytanie modlitewnika. Myśmy widzieli, jak sam wyłożył ścieżkę przed drzwiami chatki kamieniami przyniesionymi własnoręcznie z pobliskiej rzeki. Do końca jego pobytu zastanawialiśmy się, kim jest ów jegomość. Dotarło to do nas dopiero ostatniego dnia, kiedy przyjechał po niego jego kierowca, Józef Mucha. Mama poznała go, bo też parę razy bywał u niej kilka lat wcześniej i wtedy zrozumiała, że to kardynał Wojtyła.

K.G.: Rok później został wybrany papieżem. Jak odebrali to tutejsi?

J.A.: Były łzy płynące z oczu ze szczęścia i wzruszenia. Nie zapomnę tej chwili nigdy. To było dla nas potrójnie wyjątkowe. Raz, ponieważ mama znała go osobiście. Dwa, bo to był nasz papież, Polak. I trzy, zważywszy na tę przepowiednię, która krążyła wśród ludzi, mówiącą, że po tym, jak Wojtyła złapał spadające na ziemię berło w Ludźmierzu, z pewnością będzie władał całym Kościołem na ziemi.

K.G.: Jego pontyfikat z pewnością był bardzo bliski Pańskiej rodzinie. Czy można było odczuć, że w jakiś sposób zmienia się ona poprzez śledzenie działań papieża?

J.A.: Oczywiście. Te czasy, w których ja się wychowywałem, to były lata komunizmu. Można było skręcić w byle jaką, nierzadko złą drogę. Jednakże ja zawsze czułem, że mam swój drogowskaz i nie zgubię się nigdzie. Rodzice usilnie starali się przekazywać mi wiarę i wskazywali na postać papieża. Przez to i też dzięki wspólnej modlitwie dostawaliśmy wiele łask od Boga. I wciąż dostajemy. Wybór na papieża, zamach na jego życie i w końcu kanonizacja – to jedne z najważniejszych momentów,

które przeżywaliśmy bardzo mocno w naszej rodzinie. Zwłaszcza ogłoszenie Wojtyły świętym było dla nas niesamowicie przejmujące i do dziś napawa nas wielką radością. Mama często mówiła, że Wojtyła zawsze był święty - już za życia, jako ksiądz, kardynał i w końcu papież. I później się okazało, że jej słowa się sprawdziły (uśmiech i łzy wzruszenia).

K.G.: Lubomierz może się szczycić z tego, że gościł tak wielką postać – papieża Jana Pawła II. Gorce już na zawsze zostaną naznaczone jego obecnością.

J.A.: Zgadza się. To może wydawać się przesadzonym stwierdzeniem, ale tak właśnie jest. Ukochał to miejsce szczególnie. Teraz pozostała nam tu po nim chatka, w której mieszkał, dziś zwana Papieżówką. Poza tym co roku w drugą niedzielę czerwca spotykamy się w kapliczce Na Ogrodach, gdzie Wojtyła odprawiał Msze święte podczas swojego pobytu w Lubomierzu. To wielki zaszczyt, że właśnie u nas przebywał przyszły papież. Być może nie ma go tu fizycznie, ale z całą pewnością czuć jego obecność dokoła. Tu wędrował, tu się modlił, tu zostawił dla nas swoje wskazówki. Nasz osobisty święty.

K.G.: Dziękuję za rozmowę.

Klaudia Gawronek

Fot. ikona: Wędrówka Karola Wojtyły grzbietem polany Podskały w Lubomierzu - zdjęcie z arch. prywatnego nadesłali Anna i Tomasz Pajdzik z Lubomierza



Jan Adamczyk w swoim domu



Jan Adamczyk (druh drugi od lewej, licząc od Jana Pawła II) podczas pielgrzymki druhów OSP z terenu Gminy Mszana Dolna do Rzymu, lata 80 - te XX w. fot. przesłała P. Maria Nawieśniak


Ojciec Święty Jan Paweł II
udziela całym sercem
Apostolskiego Błogosławieństwa
Teresie i Janowi Adamczyk z dziećmi
Karolem i Łukaszem
wzywając obfitości łask Bożych
Ex Aedibus Vaticanis die 25. 02. 1997
+ Oscar Rizzato
Archiepiscopus
Eleemosynarius Summi Pontificis


Ojciec Święty Jan Paweł II
udziela całym sercem
Apostolskiego Błogosławieństwa
Marii i Kasprowi Adamczyk
wzywając obfitości łask Bożych
Ex Aedibus Vaticanis die 25. 02. 1997
+ Oscar Rizzato
Archiepiscopus
Eleemosynarius Summi Pontificis

Błogosławieństwo Ojca św. Jana Pawła II dla rodziny Adamczyków